

GOLIARDA
SAPIENZA

SPOTKANIE

W POSITANO

Nastrojowa powieść o przyjaźni
dwóch kobiet w zjawiskowej
włoskiej scenerii

MO
VA

GOLIARDA
SAPIENZA

SPOTKANIE W POSITANO

PRZEŁOŻYŁ
Tomasz Kwiecień



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Appuntamento a Positano

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Justyna Żebrowska

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcie na okładce: © doodko, © Jessmie, © Anetlanda / Shutterstock.com

DTP: MELES-DESIGN

Copyright © 2015, The Estate of Goliarda Sapienza

First published in Italy in 2018 by Giulio Einaudi editore, Torino.

This edition published in agreement with Piergiorgio Nicolazzini Literary Agency (PNLA) and Book/Lab Literary Agency, Poland.

Copyright © 2021 for the Polish edition by Mova an imprint
of Wydawnictwo Kobiecte Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Kwiecień, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2021

ISBN 978-83-66890-78-7



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/wydawnictwo.mova



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiecte

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

1.

Jej kroki rzucały czar na wszystkich, kiedy schodziła po nielicznych schodkach prowadzących do przystani, gdzie czekał na nią *gozzo*^{*}, którym wypływała na morze, albo kiedy po powrocie, najpóźniej o pierwszej, Nicola, syn Lucibella zwanego Małpą, najstarszego i najdzielniejszego z emerytowanych rybaków w Positano, który tak jak pozostali zajął się wypożyczaniem plażowych parasoli i leżaków, pomagał jej wysiąść z łodzi na pomost i rozanielonym wzrokiem patrzył, jak się oddala i zamienia kamienistą zatokę w przytulny salon.

Nicoli zapierało dech w piersi za każdym razem, gdy słyszał zwrócone do siebie ciche „dziękuję” wypowiedane przez jej harmonijnie zarysowane usta, może odrobinę zbyt pełne, by uznać je za absolutnie doskonałe. Jak zaczarowany odprowadzał ją wzrokiem aż do chwili, gdy lekko przyspieszając kroku, ginęła na wielkich schodach w hałaśliwym tłumie mężczyzn – obowiązkowo w szortach – i kobiet w kompletach plażowych o zbyt krzyczących kolorach, by wytrzymać porównanie z jej powściągliwym pareo albo długimi spodniami.

Chłopak nigdy nie widział, jak się kąpała, choć służył jej od dziecka, i snuł marzenia, gdy wskakiwał na pokład *gozzo* księżnej, by go zakotwiczyć. Popływać razem z nią, cóż by za

* *Gozzo* – typowa dla regionu Kampanii niewielka łódź rybacka o mocnej śpięcie, w czasach opisywanych przez powieść drewniana i zazwyczaj wiosłowa. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

to dał – i rzucał pełne zazdrości spojrzenie na przyjaciół, którzy ją otaczali niczym mała wierna drużyna, chronili, a może raczej odsuwali od wszystkich. „Być jednym z nich”, myślał, porządkując łódź i zbierając troskliwie cenne przedmioty, których ci szczęśliwcy zawsze zapominali: krem do opalania, zegarek, bransoletkę.

Księżna wprowadzała go w rozmarzenie. Ile już widział markiz, hrabin i księżnych. Ale żadnej takiej jak ona! Nicola marzy, leżąc na deskach łodzi, jego smagłe ciało jest zwinięte na słońcu, głowa o lwiej czuprynie podparta muskularnym ramieniem, lecz włosy pod pachami ma jeszcze miękkie jak dziecko.

Mijając lekko i pewnie werandę baru Buca di Bacco, o tej porze pełną gości zebranych na aperitif, Erica przesuwiała pobieżne spojrzenie po wszystkich twarzach, które się odwracały, by na nią popatrzeć, a jeśli czasem jej wzrok zatrzymywał się na chwilę, to tylko po to, by odszukać spojrzeniem Antonia i Michelego, dwóch starych kelnerów tego baru, którzy znali ją od dziecka, i skinać im głową na powitanie.

– A więc kłamałeś, Antonio, znasz ją. Witaa się z tobą. Trochę zbyt szczupła jak na mój gust. Kim ona jest? – pyta młody opalony na brąz mężczyzna z ujmującym uśmiechem.

– Ona nie dla was, *dotto**. Za pozwoleniem, rozejrzyjcie się dokoła. Nie widzicie, ile tu dziewczęcego kwiatu? Oczywiście to tylko kwiat sezonowy...

– Co to znaczy sezonowy? – dopytuje zaciekawiony młody człowiek, także dlatego, że i on słyszał o wymyślnych powiedzonkach, jakimi pierwszy kelner z Buca di Bacco raczy swoich klientów, i bardzo chce jakieś usłyszeć, by mieć

* Skrócenie *dottore*, tytułu odnoszącego się po włosku do wykształconego mężczyzny (niekoniecznie posiadacza doktoratu). Żeński odpowiednik to *dottoressa*, nieskracany.

co opowiadać przyjaciołom podczas długiej mediolańskiej zimy.

– Że te dziewczęta trwają tylko jedno lato, przyjeżdżają tu w czerwcu, zakwitają w połowie sierpnia, a potem więdną i giną wraz z pierwszymi deszczami. Ale tego lata mamy wspaniałe roczniki, skorzystajcie, *dotto*, winogrona nie zawsze dojrzewają takie same.

– No dobrze, a ona?

– Ona to coś wyjątkowego, taka rodzi się raz na sto lat i może już więcej rodzić się nie będzie. Natura straciła wzorec. Ale jak mówiłem, ona nie dla was.

– Czy ty mnie nie obrażasz?

– Co też mówicie! Bez żadnej obrazy. Tyle że kogo innego tu trzeba. Nie dalej jak w zeszłym roku *signorina* Erica odrzuciła angielskiego księcia.

– A więc nie jest zamężna? Ale na bardzo młodą mi nie wygląda.

– Od trzech lat jest wdową i nie ma zamiaru ponownie wychodzić za mąż.

– Ile ma lat? A dzieci?

– Nie ma dzieci, a co do wieku, kto to wie!

– No przecież, że wiesz, widziałem, z jaką sympatią cię pozdrawiała.

– Posłuchajcie, *dotto*, ja tam nie jestem za karą śmierci, ale jeden wyjątek bym zrobił.

– Jaki?

– Za podawanie wieku pięknej kobiety.

– A to ci się udało!

Młody człowiek wybucha śmiechem, zwracając się do grupki przyjaciół, którzy przysłuchiwali się rozmowie. Ja także słucham z rozbawieniem i znając typowo lombardzką zadziorność młodzieńca, zdrobnie nazywanego przez nas Prandino, czekam, co odpowie zaprzyjaźnionemu kelnerowi.

Ale tym razem widzę w oczach kolegi, że poddaje się odmowie Antonia, a jego błękitnozielone tęczówki napędniają się melancholią. Idąc za jego spojrzeniem, dostrzegam, że ową melancholię zawdzięczają one kształtnej postaci, która wspiąwszy się tanecznym krokiem po szerokich stopniach pilnowanych z lewej i prawej przez dwa dumne marmurowe lwy czuwające nad miejscowością (czy umieszczono je tam, by wzbudzały strach Saracenów, drapieżników z przeszłości?), właśnie przystaje i pochyla się do rozmowy z miejscową młodą dziewczyną (pewnie ekspedientką w jednym z licznych sklepów ze spodniami, które ostatnio się tu namnożyły), niską, czerstwą i w najmniejszym nawet stopniu niewykazującą onieśmienia. Chwilę później wyciska jej na twarzy dwa callusy i ucieka dalej. Z większą niż wcześniej lekkością przemyka przez miejsce, gdzie uliczka nieco się rozszerza i dzięki niewielkim kioskom ustawionym dookoła przypomina mały renesansowy teatr, a potem znika w wiecznie pograżonym w cieniu zaułku po prawej stronie.

Obok mnie milczy Prandino. Może i on towarzyszy tej zjawie wyobraźni w dalszej drodze. Może się zatrzymała, by popatrzeć na sklepowe witryny, a skoro – jak powiedział Antonio – jest stałą bywalczynią w Positano, pewnie gwarzy z Kabalewską, Rosjanką i projektantką tkanin, która dwadzieścia lat temu przyjechała tu na trzy dni wakacji i od tamtej pory nie ruszyła się stąd na krok.

To właśnie sława Positano sprawiła, że przyjechaliśmy tutaj z reżyserem Citem Masellim i jego scenarzystą Prandinem Viscontim, by zobaczyć, czy miasteczko może być tłem dla filmu *Opuszczeni*, nad którym wtedy pracowaliśmy. Ale już kilka godzin pobytu przekonało nas, że to miejsce jest zbyt piękne i czarujące jak na historię, którą chcieliśmy opowiedzieć. I właśnie o tym rozmawialiśmy tamtego przedpołudnia w Buca del Bacco przy aperitifie, kiedy naszą uwagę zwróciło

pojawienie się tej kobiety. Pamiętam słowa Masellego, tak wówczas dowcipnego i ironicznego:

– Człowiek to nigdy nie zazna spokoju... Właśnie doszedłeś do przekonania, że społeczeństwo masowe wszystko zrównało, a tu pojawia się obraz z przeszłości. Kto to jest? Anna Karenina? Zupełnie nie z tego świata. Podoba ci się, co, Prando? Ja tam wolę te nowoczesne dziewczuchy w dżinsach, mniej z nimi problemów... a może i nie mniej, ale przynajmniej to nowe problemy.

Jego reżyserskie oko nie pomyliło się w kwestii księżnej Eriki, bo i ja, zafascynowana jej przejściem między błękitem i złotem tego kawałka morza bezkresnego jak ocean, ale spokojnego i cichego jak jezioro, wieczorem, ze spakowanymi walizkami gotowymi już na powrót do Rzymu, korzystając z czasu na kolację, którego reżyser nam udzielił, poprosiłam o informacje Giacomina, właściciela najstarszej restauracji w Positano, który z trudnych do odgadnięcia przyczyn mnie polubił, a ja, jak to czasem bywa, miałam wrażenie, że znamy się od zawsze.

– Ach, księżna! To żadna tajemnica. Wy, dzisiejsze kobiety, zbyt poważnie potraktowałyście pracę i zniżyłyście się do bycia jak mężczyźni. Bez obrazu, ale co zyskujecie w spodniach, z tymi zmęczonymi twarzami? Cóż, to nie moja sprawa, w każdym razie świat zmierza ku upadkowi... Ona może być mniej więcej w waszym wieku, ma trzydzieści, może trzydzieści dwa lata. Widziałem, jak rośnie, rok po roku. Gdy była mała, przyjeżdżała tu z rodziną powozem. Tak, wtedy droga schodząca tutaj była bardziej jak ścieżka i księżę wolał zostawiać samochód na górze, w Santa Maria di Castello, i wypożyczać powóz. To był człowiek tradycyjny i bardzo wykształcony.

Zniknięcie tej kobiety przywróciło spokój w naszej grupie. Może ona nie istnieje, może to tylko zjawy, myślę sobie, słuchając jednocześnie, co mówi Maselli:

– To miasteczko jest zbyt malownicze, przyjechalіśmy tu na darmo, musimy wracać do Rzymu i zabrać się z powrotem do szukania miejsca pasującego do naszych *Opuszczonych*. Sądziłem, że tę historię da się umiejscowić na Południu, ale masz rację, Prando, ona jest typowa dla Północy, nawet jeśli izolacja naszych bohaterów od tego, co się działo w czterdziestym czwartym, byłaby bardziej zrozumiała i usprawiedliwiona na Południu. Pakujmy się i wracajmy.

2.

Zapomniałam o uroku Positano i jego ówczesnych mieszkańców i pewnie bym już o nich nie pamiętała, gdyby nie to, że wróciliśmy tam kilka lat później, by kręcić film dokumentalny o Lądowaniu Saracenów, wielkiej uroczystości, którą co roku 14 sierpnia żyją wszyscy mieszkańcy Wybrzeża Amalfitańskiego.

W poszukiwaniu statystów biegam po uliczkach i stromych schodkach, które wiodą to w górę, to w dół, to w dół, to w górę, otrząsają z leniwego letargu i wprawiają wyobraźnię w szalony oniryczny wir, aż tu nagle, za którymś z kolei skąpanym w słońcu rogiem, niemal się z nią zderzam. Oszołomiona, zatrzymuję się w ostatniej chwili, by nie zaatakować niczym furia – furia z kina rodem – jej szerokiej twarzy (stoję odrobinę niżej niż ona i muszę podnieść wzrok, by sprawdzić, czy nie uderzyłam jej głową) rozświetlonej parą oczu tak wielkich i wydłużonych, jakby boleśnie rozciągnięto je ku skroniom, i milknę, podczas gdy, wiem to, powinnam przeprosić. I faktycznie, ona czeka, patrząc na mnie z uwagą. W spojrzeniu o barwie miodu błyskają złote iskierki wesołości, a w ruchu blond loków o popielatym odcieniu, które lekko spływają na policzki i szyję, kryje się przygana, ale łagodna, jakby zamiast dorosłej kobiety miała upomnieć małą łobuziarę. To falowanie włosów, które mówi „uwważaj, dziewczynko”, sprawia, że czuję się taką, jaką prawdopodobnie jestem: nieuważną dziewczuchą, pewnie nawet umorusaną. A ona pachnie jaśminem albo czymś podobnym.

Kiedy przewyciężywszy krępujące ruchy i mowę zakłopotanie, udaje mi się w końcu wypowiedzieć to „przepraszam”, ona kryształowo dźwięcznym głosem odpowiada:

– Ależ nie ma za co, to się zdarza nowo przybyłym do Positano, w tym miasteczku nie da się biegać.

Dziwny spokój, jak u dziecka, któremu mama wybaczyła przewinienie, spływa na moje ciało. Już mam coś odpowiedzieć, tylko po to, by ponownie usłyszeć jej głos, kiedy odkrywam, że jej twarz zdążyła zniknąć z mojego pola widzenia. Odwróciła się. Widzę, jak płynie w swojej długiej białej spódnicy w dół schodów, bezcielesna, jakby oświetlona własnym wewnętrznym światłem. Dostrzegam jeszcze jej nagie stopy, długie, ale silne, o podbiciu wysokim jak u tancerki, i w mgnieniu oka rozpoznaję kobietę widzianą przed laty, jak szła przez plażę tym krokiem, który zwracał uwagę wszystkich.

Zaletą pracy w filmie jest między innymi to, że gdziekolwiek się pojawisz, jeśli tylko chcesz, łatwo nawiązujesz relacje ze wszystkimi, a przynajmniej tak było w latach pięćdziesiątych, kiedy nasze kino znajdowało się na etapie pionierskim, stosunkowo jeszcze wolne od nacisków rynku, a przede wszystkim kręcono w prawdziwych miastach i na rzeczywistych ulicach. Wykorzystując ten atut, zaczęłam szukać informacji o tej pani. Nawet mnie, przywykłej w owych czasach do towarzystwa postaci kalibru Nâzima Hikmeta, Luchina Viscontiego, Joyce Lussu czy pięknych i utalentowanych Anny Magnani, Lucii Bosé i Riny Morelli, trudno było wybić ją sobie z głowy.

Giacomino ojciec, legendarny kucharz z Positano, który w dziewięćdziesiątej piątej wiosnie życia wciąż cieszył się słońcem, siedząc na schodkach obok jednego z wielkich lwów i przypominając niekiedy, zwłaszcza gdy drzemał, cielesną kopię tych rzeźb, powiedział mi kiedyś: „Nie widywałem

księżnej często, bo od dwudziestu lat nie pracuję. Przekazałem pałeczkę młodemu Giacominiowi, jego musicie zapytać. Ja mogę opowiedzieć o jej ojcu, to był wielki człowiek! Nie dlatego, że szlachetnie urodzony, arystokracja w naszym kraju upada, ale dlatego, że było z niego nie byle jakie profesorsko i wszyscy go szanowali. Był jednym z moich pierwszych klientów, kiedy ta plaża była jeszcze kamieniskiem, a ja, com się nauczył gotować na pokładzie (kiedy miałem dwanaście lat, głód był taki, że rodzice musieli mnie zamustrować), zmęczony morzem i przygodami, bo dwadzieścia lat pływałem, otworzyłem osterię w tej grocie, gdzie teraz jest Buca di Bacco, pierwszą w Positano. Miałem cztery stoliki, piec, który sam zbudowałem, i ryby, które sam łowiłem. Książę był liberałem i przychodził tu z żoną, wykształconą kobietą, która rozmawiała z mężczyznami zupełnie jak mężczyzna, i trzema pięknymi córeczkami, tak że kiedy przyjeżdżali powozem, ludzie się zbiegali, żeby na nie popatrzeć, takie były zachwycające... Ale już pogasili światło, idźcie zapytać mojego syna Giacomina... Księżna Erica musi być przedostatnia z rodu Beneventanów.

– Ech, *signo** , urok małej Beneventano! – mówi mi Giacomino syn, niczym echo swego ojca, nieco lepiej utrzymane, o wielkiej lwiej głowie, odrobinę łagodniejszej, ale o takich samych błękitnych, wibrujących inteligencją oczach. – Moim zdaniem to tylko wynik tradycyjnego wychowania.

– Ale przecież jej ojciec był liberałem – przerywam mu, pewna siebie i niemądra, jak w tamtych czasach my wszyscy, młodzi, złapani w pułapkę niepohamowanego rozwoju.

– Tak, oczywiście, liberałem i synem liberałów, nigdy nie był faszystą, jeśli o to chodzi, ale w domu, z córkami, tam było po staremu... Można powiedzieć, że je karmiłem. Ich

* *Signo* – od *signora*, pani, lub *signorina*, panna.

willa stała zbyt wysoko, by wchodzić i schodzić codziennie. Córki i angielska guwernantka miały zawsze zarezerwowany stolik. Mam wrażenie, jakbym je jeszcze widział, takie szczęśliwe i piękne! Ile gwaru i śmiechu było przy tym stole! Ale wszystko zawsze bardzo grzecznie. Książę zrobił mi nawet listę dań na cały tydzień: tylko proste potrawy. Na przykład deser mogły mieć jedynie w niedzielę. I to jest dla mnie urok Eriki. Była wychowana po staremu, nie zepsuli jej przesadnymi studiami... Weźmy na przykład ciebie, *signor*. – Z czasem udało mi się wymóc na tym kucharzu-filozofie, który posiadał także najtrudniejszą sztukę pamięci, by mówił mi na „ty”. – Byłabyś piękną kobietą, gdyby tylko...

– Gdyby tylko co, Giacominio? Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć.

– Ech, właśnie na tym polega kłopot. Z tobą rozmawia się jak z chłopakiem. To grzech, to obraza natury. Co sobie myślą kobiety, które zadręczają się pracą jak my, biedni mężczyźni? Nie rozumieją, że wszystko to zostało wymyślone przez wielki biznes? Wiesz, że ja co drugi rok w związku z pracą jeżdżę do Nowego Jorku. Widziałem na własne oczy, jak kobiety uwiodła ta cała, jak to mówią, demokracja: harują jak niewolnice, a jutro uwierzą, że tą harówką zasłużą na szacunek innych. Mylicie się. Zrobili z kobiet fabryczne niewolnice i mięso armatnie... Ja tam nie jestem uczony, ale umiem rozpoznać podejrzaną plany i mam pamięć, dzięki temu uratowałem się przed faszyzmem i wojną...

Pozwalam mu mówić, wiem, że teraz nie wydobędę z niego dokładnych informacji na jej temat. Kiedy Giacominio zaczyna filozofować, nic go nie powstrzyma. Mówi o bożku pieniądza, którego kult narzuciła światu Ameryka, o swoim spotkaniu z Ezrą Poundem, o jego Positano, które czeka zniszczenie, kiedy tylko zbudują wielką drogę za pieniądze wyłożone przez lokalnych handlarzy, przecinając i raniąc góry.

– Popatrz, jeszcze się nie zabił rana po tej przeklętej drodze, którą otworzyli w latach dwudziestych, a już ją chcą poszerzać.

Wstałam i spjrzałam na góry. Może pod wpływem smutku, który dosłyszałam w jego głosie, wydaje mi się, że naprawdę widzę, jak krwawią tam wysoko, gdzie linia asfaltu przecina je bez szacunku dla dzikiego chaosu wielkich skał wśród karobów, oliwek i pomarańczy. Wciąż są piękne, ale jak długo jeszcze takie pozostaną? Kiedy droga zostanie poszerzona, kto nas uratuje przed lawiną samochodów i ludzi zgłodniałych przyjemności onegdaj zarezerwowanych dla niewielu?

– *Signo*, będę szczery, wyglądasz jak przedwcześnie postarzały w trudach życia chłopaczek, a moja Erica, która na oko ma tyle samo lat co ty, popatrz tylko na nią, jak zbiega ze swoją siostrą Olivią. Olivia była najpiękniejsza z trzech klejnotów Beneventanów... Najstarsza, Fiore, zabiła się. Ech, tak, wszystko, co najpiękniejsze, ma swój sekretny ból, nie da się uciec przed naturą, nadmiar piękna skrywa cierpienie. Popatrz na kwiat kaktusa: trwa tylko jedną noc. Albo na gardenię czy jaśmin... Kobiety Beneventano wraz z urodą noszą w sercu melancholię.

Tą sekretną melancholią, o której wspomniał Giacomo, próbowałam, jak umiałam, zaciekawić naszego reżysera i członków naszej grupy mieszkającej w schludnym hoteliku osadzonym na jednym z wielu górskich wierzchołków, które niczym jaśniejąca w nocy aureola opasują Positano – krótko mówiąc, starałam się wciągnąć ich w historię tej kobiety rozdartej między tym, co dawne, a tym, co współczesne, w moich oczach emblematycznej w swoim wyborze spędzania niemal całego roku w miejscowości wciąż jeszcze odizolowanej od barbarzyńskiego naporu produktów, towarów, miejskiego szaleństwa. To zbyt romantyczne, zbyt „skrajny przypadek”,

brzmiała lakoniczna odpowiedź miękkich bojowników spod znaku Togliattiego*.

Może mają rację, myślałam, wychodząc na balkon orlego gniazda, które nas gościło, zdecydowana nie tracić więcej czasu na moją indywidualistyczną i burżuazyjną ułomność, którą, to już stało się jasne, ta kobieta na nowo we mnie obudziła. Gdy jednak patrzyłam na grę światel opadających ze skalnych szczytów, biegnących w dół i rysujących obrazy jak z kalejdoskopu, wspomnienie jej uśmiechu kazało mi wypatrywać jej w uliczkach, na placach, rogach domów, aż po światła lampionów na plaży odbijających się od mrocznego morza.

Ale jej nie znalazłam.

* Palmiro Togliatti (1893–1964) – historyczny przywódca Komunistycznej Partii Włoch, wielokrotny parlamentarzysta.

3.

Tej zimy w Rzymie spróbowałam dotrzeć do tego, co wydawało mi się już tylko zjawą, a co w duchu, nieco sama z siebie żartując, zaczęłam nazywać moim osobistym „skrajnym przypadkiem”. Nie przyznawałam się nikomu, to były czasy politycznej aktywności, kiedy nawet hrabia Luchino Visconti zajmował się jedynie rybakami i robotnikami i więcej niż raz na swój cierpki sposób próbował odwieść mnie od zamykania się w tym, co „prywatne”, skoro istniało kino – wielkie medium – mające edukować masy. Dlaczego przestałam grać? Dlaczego nie wykorzystywałam swojego talentu, by wpływać na ideologiczne kształtowanie mas? Nie, to akurat mówił Mario Alicata, ale w tamtym okresie Visconti i Alicata trzymali się razem. Ale ja, córka adwokata karnisty, wychowałam się w poczekalni ojcowskiej kancelarii, gdzie schodziły się same „skrajne przypadki”, wśród papierów opowiadających wyłącznie o sprawach wyjątkowych. Zapewne z tej przyczyny to zadziwiające stworzenie, które wszyscy w Positano kochali – rzecz już sama w sobie rzadka – unosiło się wciąż na obrzeżach mojej fantazji. Nie mogłam się nie stawić na to spotkanie.

Moim znajomym był malarz Lorenzo Tornabuoni, brat Lietty, dziennikarki, z którą zaznajomiłam się pod koniec wojny. Lorenzo miał dom w Positano i kochał tę miejscowość z całą łagodno-wściekłą przesadą swego malarskiego talentu. Przedstawił mnie Landy’emu Morganowi, także malarzowi, Amerykaninowi od dwudziestu już lat mieszkającemu w Positano i bliskiemu znajomemu mojej „pani”.

W małej pracowni zacienionej wiekowymi naroślami wilgotnej zieleni Landy, bardziej niż malarza przypominający klasztornego braciszka, ale z tych krzepkich braciszków, którzy więcej czasu spędzają w polu niż przy sztaludze, w swojej bostońskiej angielszczyźnie z neapolitańskim akcentem potwierdza mi:

– Można powiedzieć, że Erica pomogła połowie tutejszych, w pewien sposób także mnie. Nie tylko w postaci pożyczki czy załatwienia lekcji dla bosej dziewczynki. Ona pierwsza, i to w epoce degrengolady obrazu, dźwięku, duszy, uwierzyła w moje nedorzeczne malarstwo. Ona pierwsza kupiła ode mnie obraz i zawsze, kiedy ją odwiedzam, zdumiewa mnie jego widok w jej sypialni. Widać naprawdę się jej spodobał i to wciąż dodaje mi ufności, bo choć teraz moje obrazy są w Nowym Jorku bardzo poszukiwane, to sama wiesz, że brak pewności siebie u artysty jest jak rana pierwszych porażek, do końca niezagojona i gotowa się otworzyć w każdej chwili.

Słuchając Landy'ego, który wznosi miłosną pieśń trubadura na cześć swojej pani, nabieram coraz większej pewności, że nie przedstawi nas sobie, tak jak nie przedstawił sobie jej i Lorenza. Ale czy to ważne? W jego domu mieszkało się przyjemnie, a ja w tamtych latach czułam się tak szczęśliwa w moim samotniczym poszukiwaniu słów, wersów i wierszy, że byłam niemal zadowolona z tego nieodbytego spotkania. Był jeszcze jeden powód mojego ówczesnego zadowolenia: w tamtych latach odkryłam cały mały świat, który, co zrozumiałam później, był sercem podskórnych zmian, jakie poruszyły naszym krajem. Ale to inna historia. Wówczas, w to przyjemnie gorące i pachnące kawą popołudnie, ze wzrokiem utkwionym w pokazywane mi przez Landy'ego dzieła malowane wbrew ówczesnej modzie, postanowiłam, że nie będę się już starała o spotkanie z moją księżną, a zamiast tego oddam się karmieniu

zmysłów – ile będzie mi dane, jeden tydzień albo całe miesiące – tym miejscem, które jak odkryłam, było nie tylko pięknym bawidelkiem w kształcie orlego gniazda nocą czy świętym śródziemnomorskim ołtarzykiem o poranku, ale też prawdziwym skrzyżowaniem ras, zwyczajów, języków świata.

Jak to bywa w podróży, duszę miasta czy miasteczka odkrywasz w jego domach. I tak chodząc od domu do domu, od najskromniejszego, gdzie mieszkał były rybak Lucibello, do którego przychodziłam zimą na zakup z soczewicy i endywii, po taras rezydencji Irmy i Edny, dwóch starych i pięknych Amerykanek – mogły mieć równie dobrze sześćdziesiąt, jak i sto dwadzieścia lat, kto to mógł wiedzieć – gdzie po zmroku zasiadali do stołu malarze, rzeźbiarze albo też wędrowne ptaki z całego świata, ramię w ramię bogaci i biedni, pewnego wieczoru poznałam japońskiego arystokratę, tak obdartego, że wyglądał na kloszarda.

Właśnie u Irmy i Edny spotkałam pierwszych egzystencjalistów, już nie tych staromodnych z ponurych paryskich *caves*, ale innego rodzaju, w kolorowych łachmanach oddanych poszukiwaniu radości. Zapowiadali już sobą erę nadziei, erę dzieci kwiatów. Jedną z nich była Wally. Na pięknej, jeszcze dziecinnej twarzyczce miała oczy pomalowane żalobną czernią, ale jak mi zdradziła, tylko dlatego, by szydzić z cierpienia na wzór różnych Merleau-Pontych, Sartre'ów, Greców i towarzyszy. W Positano zarabiała na życie, tańcząc w luksusowych hotelach.

Wspaniała, szatańska dziewczyna z tej Wally: frunie od krańca do krańca tanecznego parkietu i czuła już lekki zapach haszyszu i marihuany w oddechach pełnych emocji i entuzjazmu, zapach przypominający świeżo skoszone siano, który niczym nieustający wiatr rozwesela ściany, pergole i schodki rankiem skąpane w słońcu, a nocą – w niepokalanie mlecznym blasku księżycy na bezkresnym niebie.

Niektórzy młodzi malarze, choćby ten Hans o twarzy wychudzonej niczym Chrystus z bizantyńskiej ikony i długich włosach w kolorze siana tańczących w rytmie narzucanym przez schodki, bez wątpienia korzystali z tych substancji. Miejscowe dzieciaki nazywały Hansa żartobliwie „’o Crocifisso”, Ukrzyżowany: „Patrz, jaki jest chudy, tylko mu gwoździ brakuje”. Swoje obrazy w stylu udawanego *naïf* wystawiał na sprzedaż, wieszając je na murze biegnącym wzdłuż długiej ulicy prowadzącej do jedyne go placu miasteczka. Kto mógł wówczas podejrzewać, że ten przyjemny zapach siana, który już wczesnym rankiem przenikał jego dżinsy, był dyskretnym znakiem kolejnej straszliwej epoki (nowej wojny?), gotującej się, by spaść jak grom z jasnego nieba na nasze miasta. Nikt, a najmniej ze wszystkich ja, schodząca z pogodą w sercu tą alejką aż do przystani, melodyjnego zakończenia architektonicznej symfonii.

Szłam wtedy na ważne spotkanie z moją łódką, lekką, zwrotną, bardzo pożądaną przez wszystkich, którą Teresa Lucibello rezerwowała dla mnie na wyłączność, kiedy przebywałam w Positano. Na tej niewielkiej drewnianej łódce odkrywałam małe dzikie plaże, które niczym kulisy bezkresnej sceny okazywały się raz przerażające, a raz gościnne jak muszle wyrzeźbione przez wprawną pracę fali.

Moje łaknące spokoju, zmęczone metropolią oczy przyciągnęła przytulna zatoczka. Wyciągnąwszy łódź na brzeg, ruszam na poszukiwanie siostry tej przestronnej konchy, która mnie ugościła – mniejszej, cichej, takiej, gdzie jeszcze można znaleźć korale – kiedy zatrzymuje mnie widok (czy ja wciąż śnię?) nagiego piękna, aż do tej chwili niedostrzeżonego, wystawionego na szczere i przejrzyste kwietniowe słońce, z głową lekko obróconą, by chronić się przed promieniami odbijanymi przez morze.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova